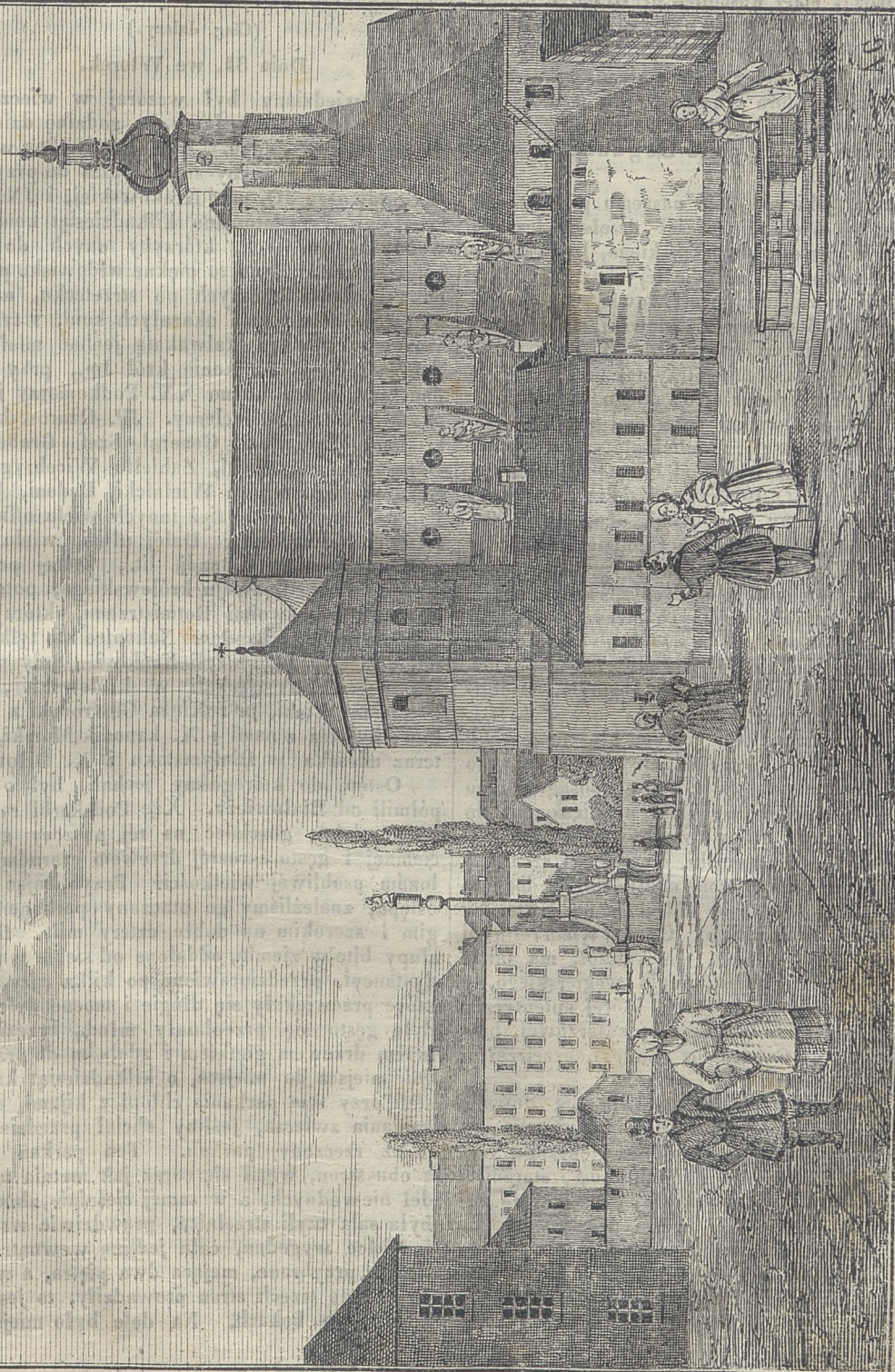


Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci.

No. 49.

Leszno, dnia 10. Czerwca 1837.



Kościół OO. Bernardynów we Lwowie.

Kościół OO. Bernardynów we Lwowie.

W miejscu, gdzie dzisiaj stoi piękny z ciosowego kamienia klasztor OO. Bernardynów, już w roku 1460 znany z uczoności swojej Grzegorz z Sanoka, arcybiskup natenczas lwowski, poświęcił mały kościółek drewniany, wystawiony kosztem i staraniem Andrzeja Odrowąża wojewody podolskiego.

W roku 1464 przez pożar z ziemią zrównany, hojną tegoż fundatora ręką powtórnie wzniesiony, podpadł znowu zniszczeniu w roku 1509, w czasie oblężenia Lwowa przez Bogdana, Hospodara wołoskiego.

Klasztor, jaki się dziś naszemu przedstawia oku, jest po większej części dziełem Jerzego Mniszcha, wojewody sandomirskiego, lwowskiego starosty, któremu w budowie tej okazałej świątyni, jednej z celujących we Lwowie, dopomagali Jan Zamojski, Stanisław Żółkiewski, Dymitr Solikowski, arcybiskup lwowski. W roku 1630 dokończony, poświęcenie otrzymał od Jana Pruchnickiego, arcybiskupa lwowskiego.

Między kosztownymi sprzętami znajduje się w skarbcu tego klasztoru kielich złoty, szacowany na 270 dukatów, sprawiony od Jana Opatowskiego, kanonika archikat. lwowsk., i takież drugi dyamentami wysadzony i rubinami, ofiara temu kościołowi dana przez Barbarę Chodzieńkową, nawróconą do wiary katolickiej przez tychże zakonników, Ormiankę; najwięcej zaś kosztownych i drogich sprzętów kościelnych otrzymał klasztor od hrabiny Sieniawskiej marszałkowej koronnej. Zdobią także ten kościół organy znacznej wielkości, i piękna wieża okrągła z zegarem. Osobliwym atoli zaszczytem kościoła są zwłoki Bł. Jana z Dukli, zmarłego w tym klasztorze roku 1483, przy których zwłokach wiele doznano cudów. Przy kościele stoi kołos z posągiem tego świętego klęczącym, z rękami podniesionymi do nieba. Z jednej strony wyższej postawy, widzieć się daje napis łaciński, wyrażający szczególniejszą obronę tego patrona miasta, jakiej doznało w roku 1648 w czasie oblężenia od Kozaków pod wodzą Chmielnickiego. Oprócz wielu relikwii świętych, które posiada ten kościół, ma także rękę prawą Ś. Stefana, króla węgierskiego, w skrzyńeczce srebrnej zawartą, której autentyczne dowody, z rozkazu M. Teresy cesarzowej, hrabia Auersberg, Gubernator Galicyi, przejrzał, i za prawdziwe uznał.

W klasztorze tym znajdowała się dawniej biblioteka, darowana od wyż wspomnianego kanonika Opatowskiego, później zwiększona wyborem ksiąg rozmaitych i rękopismów, staraniem X. Wenantego Tyszkowskiego, prowincyała zakonu; atoli po większej części przeniesiona do nowo założonego uniwersytetu od Józefa II. cesarza; z bogaciła księgozbiór akademii lwowskiej. W tym klasztorze są złożone wszystkich niemal dawnych sądów i magistratur polskich akta

grodzkie i ziemskie, podkomorskie i inne; których przegląd, za opłatą przepisanej tacy, pozwolony jest każdemu. A. G.

Wyimki z Dyaryusza podróży St. Augusta na sęjm do Grodna odbytej w roku 1784.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 31. we Wtorek.

Zapowiedziany był wczoraj w wieczór od turniera wyjazd na łowy na godzinę dziewiątą do pierwszego ostepu. Zdało się N. Pnu wyznaczyć tę godzinę, żeby się dał czas do przybycia ze Stołowacza JO. pani Krakowskiej, i JX. Nuncyuszowi. Przygotowano kilkadziesiąt koni podwodnych, dla tych, którzyby onych do jazdy potrzebowali. Było to piękne widowisko patrzeć na tyle ludzi ubranych po strzelecku, na tyle officerów dzielnych i okazałych koni, i tyle powozów, które za kalwakatą jechać miały. O dziesiątej siadł na konia król Jm., przy boku pańskim jechali konno XX. Podkomorzy i Podskarbi i JP. Podkanclerzy. JP. Ożarowski, kasztelan Wojnicki, General-Szef Grabowski, General Komarzewski, Zabiello Wicebrigadyer, Szydłowski, Starosta Wielnicki, Badeni, Wołowicz, Morawski, tudzież innych wielu officerów, szlachty i dworskich. Dalej ulani, wielu z regimentu gwardyi konnej lit., której przyszło 100 koni dla konwoju królewskiego, potem 50 kozaków ze swoimi Rotmistrzami, którzy prowadzili konie podwodne. Nakoniec kto tylko miał lub dostał konia, służyli Królowi. Szły po tym karety; myśmy jechali w królewskiej, JPan kasztelan Wiski, ja i Xięza Gawroński z Łepickim; był też z nami i X. kanonik Morski, który teraz mieszka w Białymstoku i X. Orłowski.

Ostep, do któregośmy jechali, był o dobre półmili od Białowieży. Xże Podskarbi rozkazał zrobić dobry gościniec na tej puszczy głuchej, ciemnej i gęsto zarosłej drzewem czarnym i zielonym osobliwej wielkości. Przybliżając się do ostepu, znaleźliśmy go otoczony parkanem długim i szerokim na dobre cztery mile. Były to słupy bite w ziemię, oddalone od siebie w pewnej dystancyi, przedziurawione po kilka razy, przez które przewlekały się długie i mocne dyle, a te dyle gęsto się przepłatały młodą brzezina lub innym drzewem giętkim i zdołnym do przepłota. Od miejsca do miejsca, o kilkadziesiąt kroków, stali przy tym parkanie chłopcy z kijami, dla odganiania zwierza, jeśliby chciał przedzierać się przez rzeczony parkan. Ten parkan szerszy z obu stron, wężił się coraz jak matnia u skrzydeł niewodnych, a w samą cieśninę zbudowaną była sala czyli strzelnica, prawdziwie wspaniała i wielce wygodna, cała jedliną wewnątrz i zewnątrz przybrana, mająca dwa piętra, a wachody do niej ze trzech stron prowadziły, to jest środkiem i po bokach. Na dole było miejsce dla

liberyi i ludzi lożnych, na pierwszym piętrze dla króla i bok pański otaczających, a na drugim ustawione tylko ozdoby z piramidek wazonów i innych figur z téjże jodły sporządzonych, z cyframi królewskimi. Wszedłszy do sali, znaleźliśmy ją prawdziwie zdolną do dania balu, dla długości i obszerności swojej; podłoga była z tarcic heblowanych, sufit z płótna; na koło były w proporcji pewnej odległości otwory jakoby okna, z których zwierzyne strzelać miano. W pośrodku stały dwa stoły, mające na sobie broń, muszkiety i fuzye, oraz ładunki i kule różnego gatunku; w stósach wisiały też lub stały po bokach, przy oknach też same oręża. Prawdziwie zdawało się nam, żeśmy weszli do jakiegoś arsenału. Nastąpiło śniadanie. Zastawiono stół, nim zaczęło się polowanie, różnym na zimno mięsiwem. Wkrótce nadjechał ze Stołowacza JX. Nuncyusz ze swoim Audytorem i JO. Pani Krakowska.

Pierwszy myśliwiec Berns dał znak w trąbkę, myśliwską, na zaczęcie obławy. Czekaliśmy dosyć długo na zbliżenie się zwierza, którego lubo psy i wrzaski myśliwce ku sali goniły, wracał się on ustawicznie nazad, i rzucając się, osoczników przebiegał linią, tak dalece, że trzeba było powtórnie i potrzebie zaczynać obławę. To opóźnienie składali znający się na kilka przyczyn, to jest na rozległość wielką parkanu, na rzadkie osadzenie chłopstwem linii zaganiającej, iż zwierz miał sposobność przedzierać się nazad przez łuki; na wczesne psów wypuszczenie, które bawiąc się około niedźwiedzi, opuszczają żubry; a mianowicie na mnóstwo ludzi w altanie, do której zwierz żadną miarą przystępować nie chciał, mając wiatr od niej do siebie idący. Wszelako, mimo te okoliczności, ukazał się najprzód jeden wielki niedźwiedź na strzelenie, ale wnet wpadłszy na krzaki, z oczu zniknął. Po niejakiem czasie, ujrzelśmy drugiego; król Imé strzelił do niego szczęśliwie i zranił, że ta bestya lubo dalej w las poszła, jednak ją potem opodał znaleziono zabita. Znowu potem napędzono trzeciego niedźwiedzia, król do niego strzelił, a za królem wystrzelono z kilkunastu karabinów i zabito przy samym parkanie; w téj liczbie postrzałów niedźwiedź z czyjej ręki poległ. Gdy nie można było żadną miarą przybliżyć żubrów, na których powtórna obława poszła bez psów, król Imé rozkazał strzelcom, aby ich w ostępie szukali, i tak dwóch samców bardzo wielkich zabito, mianowicie jednego, który rzucając się na przebój, uderzył prosto na myśliwca Berensa, konia mu ranił, że ledwo jeździec uwiesiwszy się na gałęzi schwytanęj, niebezpieczeństwa uszedł. Tak tedy dnia ubito tylko dwóch niedźwiedzi i dwóch żubrów. Król Imé chłopca jednego, którego niedźwiedź lekko zranił uchwyciwszy go zębami za bok, pieniędzmi udarował.

Okolo godziny szóstéj wieczornéj powróciliśmy do Białowieży; nastąpił obiad wieczorny, po

którym król Imé udał się do swych pokojów, kompania zaś grą bawiła się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kondescensya.

(Wyjątek z rękopismu: Słownik starożytności polskich.)

Była to komissya sądowa, która zjeżdżała na grunt. Mogła być od sejmu wyznaczona, dla załatwienia sporu w najwyższej instancji. Czasem była przez trybunał nakazana i przez sąd grodzki wykonywana; czasem zjeżdżał też i sędzia ziemski, a mianowicie dla exekucyi wyroku. Najpopolitsze były kondescensye graniczne, które odbywali podkomorzowie i komornicy. Podczas kondescensyi zakładał sędzia zupełne sądownictwo na wsi, woźny przywoływał strony, świadków, wszystko jak w sądzie. Kondescensye odbywały się zwyczajnie po dworach, w pomieszkaniu powodu. Jego przeciwnik, często najzaciętszy nieprzyjaciel, przybywał w tym dniu do niego i zawieszało nieprzyjaźń wzajemnie. Jeżeli jednak strony przez poprzednie zatargi i bijatyki zbyt daleko zabrnęły w nienawiść, albo mieszkania były zamałe do pomieszczenia sądu, przyjaciół stron obydwóch, przyjaciół i sług sędziowskich, natenczas kondescensya odbywano na miejscu sporném w polu. Rozbijano namioty, u kółków wiązano konie, palono ogień, roztawiano stoły sądownicze i obiadowe, zgoła komissya przybierała postać obozu, który czasem kilkaset koni i ludzi mieścił. Jeżeli sprawa była zawikłana, i każda strona wielu liczyła interessentów, natenczas trwały to i przez kilka tygodni. Kiedy urzędnik, przewodniczący komissyi, był znaczny i rozumny, to najczęściej kończył wszystko przez przywiedzenie do zgody. Nieraz zdarzyło się, że na kondescensyach strony najnieprzyjaźniejsze weszły z sobą w ściśle stósunki, i ułożyły małżeństwa między swemi dziećmi. Pisarzom romanów narodowych możemy polecać kondescensya jako przedmiot bardzo ważny i obfity dla fikcyi.

Abissyńczykowie.

Mieszkańcy wielu krain Afryki bardzo mało nam jeszcze są znani; najpewniejsze wiadomości o wielu z nich, winniśmy misyonarzóm portugalskim, kilku francuzkim i angielskim podróżnikom, a pomiędzy ostatnimi P. Bruce, który z wielką dokładnością opisał nam to wszystko, co własnemi widział oczyma.

Abissyńczykowie, od wielu Etyopami nazywani, zalegający przestrzeń ziemi obszerną, 15300 mil kwadrat. wynoszącą, są pospolicie czarnej cery; różnią się jednakże od murzynów regularnym składem twarzy, mającej w sobie coś wzniosłego i szlachetnego. Budowy ciała mocnej i kościstej, mężni są i wytrwali w znoszeniu niewygód; kobiety należą do najpiękniejszych po-



Abissynicykowie.

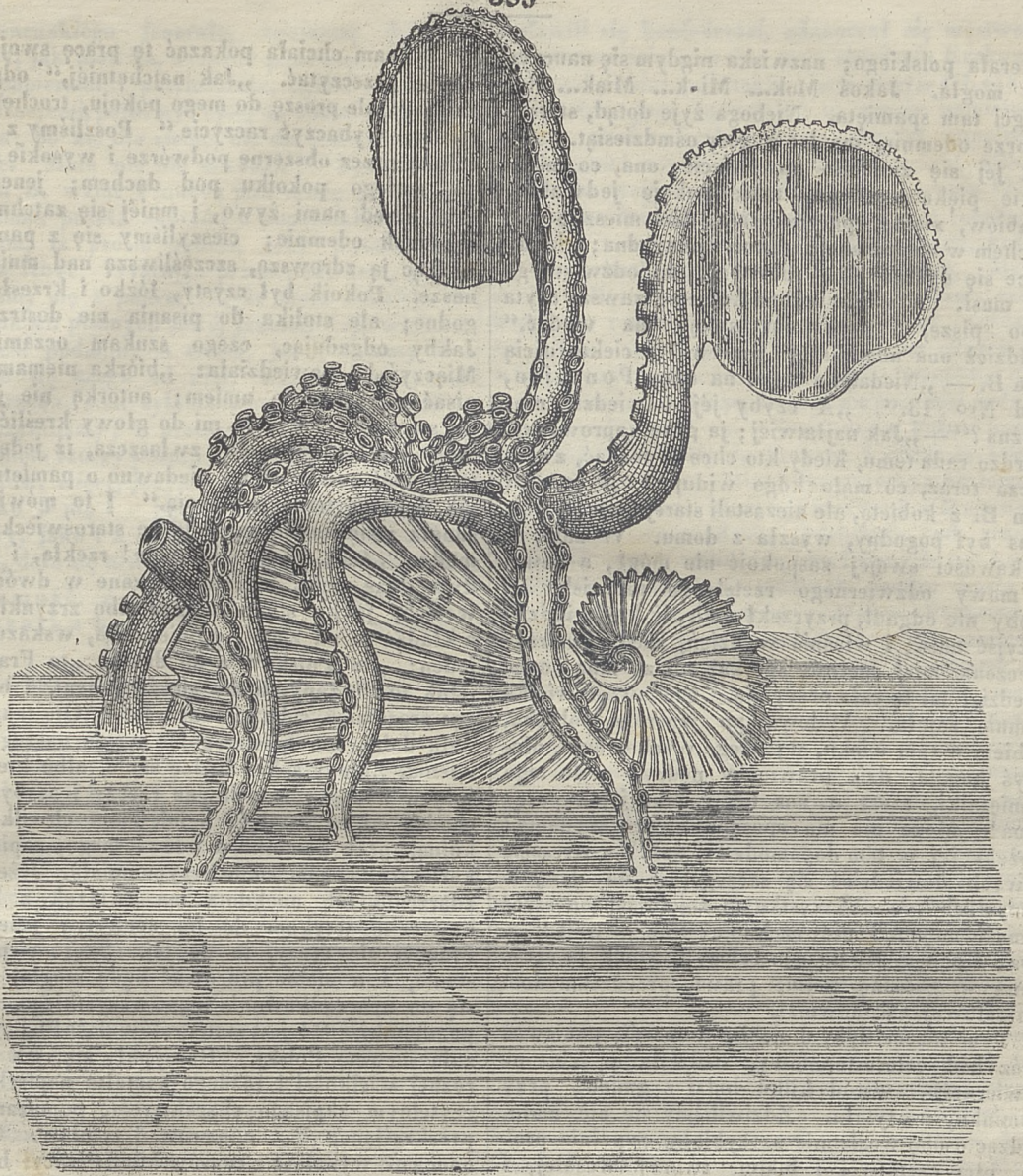
między Afrykankami, i mają w poruszeniach swoich coś nader ujmującego. Bruce opisuje kilka dziewic abissynskich, które mogłyby się ubiegać o pierwszeństwo z najpierwszemi Europą pięknosciami. Nazywają się w prawdzie Abissynicykowie chrześcianami, lecz życie ich wcale nie odpowiada duchowi nauki Zbawiciela: oddani powiększej części wielożeństwu, okrutnymi są w całym swoim postępowaniu. Głową ich kościoła jest rządzący monarcha, a najbliższy temu w godności Abuna (ojciec) kapłan najwyższy. Do zewnętrznych religii obrzędów wiele jest Abissynicyk przywiązany; obok wielu chrystyanizmu ustaw, zachował niemało z pogaństwa i Mojżeszowej religii przepisów. Był czas, gdzie za wpływem Portugalczyków uznawał Papieża za głowę kościoła swego, i misyonarzy włoskich szanował (1626); lecz gdy Portugalia popierała raz zaczętej sprawy nie mogła, wypędzono z Abissynii Jezuitów, i dawny zaprowadzono porządek. Od tego czasu wszystkie usiłowania Propaganły rzymskiej były daremne; wielka nawet liczba misyonarzy chrześciańskich w nowszych czasach, śmierć męczeńską w Abissynii poniosła.

Trudnią się Abissynicycy handlem i uprawą roli, największa część żyje z rozboju. Odzienie ich jest lekkie i odpowiadające klimatowi, w jakim żyją. Potrzeb mało znają. Zabytki sztuk

znaleść można na wielu miejscach. Świątynie, okrągłe zwykle, i wielu malowidłami ozdobione, stawiane bywają na pagórkach, otoczone palmowemi drzewami: domy mieszkalne trwałe i dość wygodne; język zbliża się bardzo do arabskiego, tak, iż mówiący po arabsku, łatwo się może z Abissynicykiem rozmówić. Najnowsze wiadomości o Abissynii mamy z dziennika podróży niemieckiego misyonarza P. Gobat, który w roku 1832 z krain afrykańskich powrócił, po długoletniej pracy wśród pogan.

Argonauta (żeglarz).

Dziwne to stworzenie należy do rodzaju Molusków, a pomiędzy temi do gatunku Sepiów; znane już było starożytnym badaczom przyrodzenia; w historii naturalnej Pliniusza dość dokładnie znajduje się jego opis. Skorupa służąca ślimakowi temu za mieszkanie, jest bardzo delikatna i lekka, tak, że podczas ciszy na morzu unosi się w niej na powierzchni wód, jakoby w statku jakim. Wypuszcza wtedy żeglarz sześć długich ramion (macki) na dół, używając ich w miejsce wiosel; nad powierzchnią morza dwie inne wysuwa, które mu za żagle służą. Gdy morze spokojne, widać mnóstwo żeglarzów takich razem płynących; gdy zaś burzyć się bałwany poczy-



Argonauta.

nają, lub najmniejsze jest niebezpieczeństwo, ściąga natychmiast Argonauta żagle swe i wiosła, i na dno morza się spuszcza. Wielu naturalistów utrzymywało, iż Argonauta nie mieszka ciągle w tej skorupie, w której pływa, ale, że ją od innego ślimaka bierze, tak, jak n. p. rak pustelnik w próżne ślimaków wchodzi skorupy; lecz ponieważ Argonautę zawsze w jednakowym znajdowano mieszkaniu, a nawet w jajku zwierzęcia tego zawiązek jej spostrzegano, upadł przeto fałszywy domysł. W morzu śródziemnym i w indyjskim oceanie przy moluskich wyspach, mnóstwo znajdują Argonautów; ciało ich miękkie, białawe, upstrzone czerwonymi kropkami, przysmakiem jest dla majtków azyatyckich.

Józef Miączyński.

W początkach tegorocznej zimy, pan B. szukając kogós na odległym przedmieściu S. Marcellego w Paryżu, zapytał o nieznaną sobie ulicę, stojącą przed ubogim domem sędziwej już kobiety; ona odpowiedziałszy mu uprzejmie, jak jest zwyczajem pospólstwa paryzkiego, dodała z uśmiechem: „przysięgłabym, żeś W Pan Polak.“ „Niemam żadnej przyczyny wypierania się mego rodu, ale z czegoś mnie poznała?“ — „Ze wszystkiego; z twarzy, z postawy, z wąsów, z mowy.“ — „Czyż tak wielu już znaś Polaków?“ — „Nie teraz, ale dawniejszemi czasy, jeszcze za cesarstwa; służyłam lat kilkanaście u wdowy sławnego

jenerała polskiego; nazwiska nigdy się nauczyć nie mogła. Jakoś Mok... Miak... Miak... ski. Bógci tam spamięta. Nieboga żyje dotąd, starsza dobrze odemnie, ma lat z góry ośmdziesiąt. Ale jak ję się zmieniło na świecie; ona, co miała takie piękne pokoje, takie suknie jedwabne, hrabiów, xiążąt, przyjmowała, dziś mieszka pod dachem w nieopalanéj izdebce, sama jedna; a kiedy chce się ugrzać albo rozerwać, do odźwiernego iść musi. A wcale uczona kobieta; zawsze czyta albo pisze, i pamiętniki swoje ma wydać. „Gdzież ona mieszka?“ przerwał z ciekawością Pan B. — „Niedaleko ztąd, na ulicy Pontoise, pod N^{ro} 13.“ „A czyby ję odwiedzić niemożna?“ — „Jak najłatwiej; ja pana zaprowadzę. Bardzo rada temu, kiedy kto chce ją poznać, zwłaszcza teraz, co mało kogo widuje.“ I poszedł pan B. z kobietą, ale niezastali staréj jenerałowéj; czas był pogodny, wyszła z domu. W żalu, iż ciekawości swojéj zaspokoić nie mógł, a nawet z mowy odźwiernego rzetelnego nazwiska téj osoby nie odgadł, przyrzekł sobie, iż kiedy indziej przyjść musi; i właśnie w dzień, kiedy to przyrzeczenie miał spełnić, spotkał się ze mną i opowiedział mi tę całą przygodę. Ciekawość wielka i mnie zajęła. Wdowa po jenerale polskim, kobieta w tym wieku, wyższego wychowania, niegdys bogata, dziś prawie w nędzy! a do tego pamiętniki, rzecz u nas tak rzadka i tak pożądana! Może nie ma sposobności ich wydania? możeby ję w tém dopomódz się dało? a wreszcie nowych dowiedzieć się szczegółów do dziejów ojczystych?... Wszystko to zajęło mocno serce i myśl moję; i nie czekając dłużej, wsiadłam wraz z panem B. do omnibusu, który za sześć sous w godzinę czasu, prawie przed sam dom jenerałowéj nas dowiózł.

Tym razem była u siebie, a raczej, ponieważ mróz był czterostopniowy, siedziała w izbie odźwiernego, wśród kilku ludzi z gminu, przy kominku, i czytała. Zdziwilimy się nie mało, widząc osobę wcale nie zgrzybiałą, zupełnie prostą, pici czerstwéj i białéj, twarzy wesołéj, i wyraźnie przechowującéj ślady wielkiéj piękności. Ubiór ję był ubogi, niemodny, ale przyzwoity i staranny. Po zwykłych w takowéj okoliczności grzecznościach, które stara jenerałowa przyjmowała i oddawała, jak gdyby w salonie, dowiedzieliśmy się, że jest wdową po Józefie Miączyńskim, marszałku konfederacyi barskiéj, jenerale francuzkim, gilotynowanym w czasie rewolucyi; że ma pensyą dożywotnią od rządu, że jest Polką sercem, lubo rodem Francuzką, że każdego Polaka uważa jako krewnego; a nareszcie, że pracuje nad pamiętnikami, które uniewinnia ję męża i wiele rzeczy obejmą o Polsce i o polakach. „Bardzo szczęśliwa,“ dodała, „z poznania się z wami, bo może mi ułatwicie ich wydrukowanie.“ Przyznałam się wtedy, iż prócz chęci zrobienia z nią znajomości, i ten cel mieliśmy tu przychodząc; dodałam, iżby nam wielką przyjemność zrobiła,

gdyby nam chciała pokazać tę pracę swoję, i co z niéj przeczytać. „Jak najchętniej,“ odpowiedziała, „ale proszę do mego pokoju, trochę w nim zimno; wybaczyć raczycie.“ Poszliśmy z wielką ochotą przez obszerne podwórze i wysokie schody do małego pokoiku pod dachem; jenerałowa szła przed nami żywo, i mniej się zatchnęła na schodach odemnie; cieszyliśmy się z panem B. widząc ją zdrowszą, szczęśliwszą nad niemiemie nasze. Pokoik był czysty, łózko i krzesło wygodne; ale stolika do pisania nie dostrzegłam. Jakby odgadując, czego szukam oczami, pani Miączyńska powiedziała: „biórka niemam, bo i pisać z reguł nie umiem; autorką nie jestem; na stare lata przyszło mi do głowy kreślić wspomnienia długiego życia; zwłaszcza, iż jeden znajomy mój powiadał mi niedawno o pamiętnikach, jak dziwnie teraz popłacają.“ I to mówiąc wysunęła z ciężkością szufladę ze staroświeckiej komody. „Otóż pamiętniki moje! rzekła, i wyjęła dwa duże pęki, mocno związane w dwóch serwetach, jakby stara bielizna albo zrzynki jakie, a kładąc je na ziemi, powiedziała, wskazując na jeden: „to Polska“ a na drugi: „to Francya.“ „Jak to?“ zapytaliśmy się zdziwieni, i nie mogąc zrozumieć, co by to znaczyło. „Oto tak,“ mówiła dalej, nie spostrzegając wcale naszego zdziwienia, „kiedy sobie siedzę sama, albo kiedy nie śpię w nocy, różne dawne rzeczy i osoby przychodzą mi na pamięć; a jak mam chwilę spokojną, przy kominku u odźwiernego, zapisuję na karteczce to, com sobie przypomniała. Jeżeli owo zdarzenie lub anekdota ma związek z Polską, karteczkę wtykam do téj serwety; jeżeli zaś Francyi się tyczy, to do téj. Skoro ciepło nastanie, i u siebie pracować będę mogła, wezmę się do uporządkowania tego wszystkiego, i będę pamiętniki. O! jest materyałów dość!“ i rozwiązała serwetę Polski. Rozsypały się, jak wióry, różnej wielkości i różnego kształtu papierki, nieczytelnym zapisane charakterem, pomazane, poprzekreślane, bez numerów i tytułów. Chciała nam coś wynaleść z czasów konfederacyi barskiéj i pobytu swojego w Polsce, ale ręce ję zgrabiały od zimna, i my dobrze uziębli, zanim coś spotkać potrafiła w tym zamęcie. Pozwoliła i mnie brać po świstku, lecz prawie niczego doczytać się nie mogłam; tém bardziej, iż w pisowni równéj była mocy, jak i w kaligrafii. Spojrzeliśmy na siebie z panem B.; oczekiwanie nasze literackié wielkiego doznało zawodu; byliśmy w podobieństwie, jak ów łakomy, co to spodziewa się wybornego winka; już go dostaje, już go widzi, już mu pachnie, otwiera, a tu zwietrzało. „A czy niema pani jakich osobnych papierów, albo pamiętek po mężu swoim?“ zapytał po chwili pan B. — „Mam,“ odpowiedziała, „te są osobno.“ I wysunawszy drugą szufladę z komody, wyjęła z niéj pudełeczko. „Tu są skarby moje!“ wyrzekła. Dostrzegliśmy portretu i starych listów i papierów. Pokazała nam najprzód portret męża, w mundu-

rze francuzkiego generała, miniaturę dobrego pendzla i, jak mówiła, dziwne podobną. a) „Co z temi papierami,“ powiedziała, „jako i z materyałami mojemu, pójdźmy lepiej do odźwiernego, do kominka; bo nie dla siebie, ale dla państwa zimna się boję. Mnie nic nie szkodzi.“ Zgodziliśmy się: pan B. wziął Francją pod ramię, ja Polskę, a ona sama poszła naprzód z pudełeczkiem, mówiąc nam, iż prosić będzie, żeby wyszli obcy ludzie z izby. Wracając przez podwórze, porozumieliśmy się z panem B., że mała nadzieja w pamiętnikach pisanych starą jenerałową, większa w ustnym podaniu; a zatem, jeżeli chcemy dowiedzieć się czego od niej, więcej wypytywać się jej trzeba, niżli sylabizować to, co nakreśliła. Tak uczyniliśmy; a przekonawszy się, iż mało ona pamięta rzeczy polskich, z anekdot i drobnych szczegółów, więcej jedynie te, co wszyscy wiedzą, już tylko o nią i o jej męża badaliśmy ją. Z jej mowy, jako i z dokumentów przez nią zachowanych, dała się utworzyć następująca wiadomość.

Wiadomość o Józefie Miączyńskim, marszałku belzkim, jenerale wojsk francuzkich.

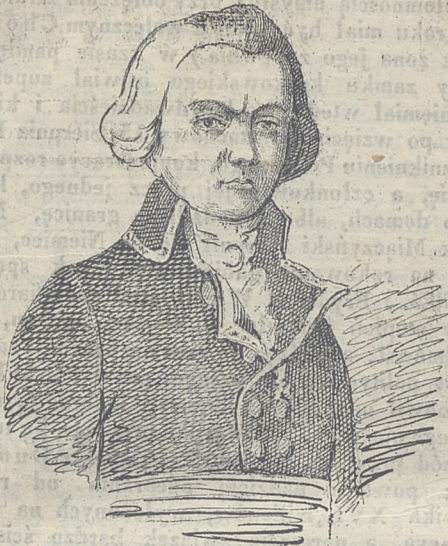
Jozef Miączyński urodził się w połowie zeszłego wieku, *) był synem Antoniego Miączyńskiego, wojewody podlaskiego i Doroty z Korybutów xiążąt wiśniowieckich, miernego wzrostu, ciemnych oczu, jasnych włosów, twarzy uprzejmej i pełnej otwartości; był śmiały, żywy, dowcipny, niepodległego umysłu; kochał ojczyznę, więcej jeszcze sławę. W samych początkach konfederacji barskiej, przystąpił do niej: a kiedy Francya uznała ją za skonfederowaną rzeczpospolitą, i przyjąwszy wysłanego do siebie Wielhorskiego jako pełnomocnika, w ściślejsze związki wchodzić z nią zaczęła; kiedy przysłała jenerala Dumouriez do pomagania konfederatom, i dostarczała pieniędzy i ludzi, Miączyński grał między swoimi znaczną rolę, pozyskał przyjaźń i zaufanie Dumourieza, a jak sam pisze o sobie, był nie tylko jeden z czterech marszałków konfederackiego wojska, ale komendantem jenerałym, i Pułaski, Walewski, Zaremba, pod jego rozkazami być mieli **). On także zastawiając własne dobra, pożyczając na swoje imię pieniędzy dla konfederacyi, w pewności, że Francya wszystko zwróci, zaciągnął (jak utrzymywał później) kilka milionów długu. We wszystkich potyczkach, w których

a) Z tej miniatury przerysowany jest wieniec portret umieszczony na czole.

*) Rzeczelną datę roku urodzenia Józefa Miączyńskiego dojść nie mogłam; pisze o sobie w nocie do Ludwika XVI., iż miał lat 19, kiedy już do konfederacyi barskiej należał; w akcie ślubnym z 1780 roku tenże miał wtedy lat 37, a przed sądem rewolucyjnym 1793 roku powiedział, że ma lat 42.

**) Vioménil, jednak w nocie swojej o stanie konfederacyi 1771 roku pisze: „Jest korpus pięciu tysięcy konnych, złożony z wojsk xięcia Radziwiłła, pana Pułaskiego, marszałka łomżyńskiego, i pana Miączyńskiego, marszałka belzkiego i t. d.“ Naczelnego dowództwa nie przysługując mu nigdy.

wstawili się konfederaci, odznaczał się męstwem i przytomnością umysłu; przy oblężeniu Krakowa 1772 roku miał być także z walecznym Choisi, a (jak żona jego zapewnia) w czasie pamiętnej obrony zamku krakowskiego osiwił zupełnie, lubo nie miał wtedy jak lat dwadzieścia i kilka. Kiedy po wzięciu Częstochowy 15. Sierpnia 1772 i po zniknięciu Pułaskiego, konfederacya rozprężyła się, a członkowie jej prócz jednego, kryli się po domach, albo uchodzili za granicę, Marszałek Miączyński schronił się do Niemiec, czekając na rokowania gabinetów; i tak spędził lat kilka. Fryderyk Wielki miał mu ofiarować wtedy stopień jenerala w wojsku swoim, ale on odmówił: a widząc, że czas nie przynosi żadnej zmiany politycznej ani w jego, ani w Polski losie, postanowił udać się do Francyi, i obrać ją sobie za drugą ojczyznę. Miał kilka przyczyn ku temu: naprzód przyjaźń, którą był zawiązał z Dumouriez; powtóre nadzieję odebrania od rządu Ludwika XVI. milionów, wyłożonych na konfederacyę, a nareszcie związek bardzo ścisły i już kilkoletni z Francją. Marya Franciszka Chaboteau piękna, młoda i dosyć majątna osoba, skutkiem różnych przygód i miłostek z jednym z oficerów francuzkich, wysłanych przez rząd z Viomenilem, znalazła się była w Polsce, w czasach jeszcze pomyślnych dla konfederacyi i tej losy dzieliła. Zakochał się w niej zapamiętałe xiążę Marcin Lubomirski, i już czwartą czy piątą żoną jego zostać miała, kiedy ją poznał marszałek Miączyński, i odbił xięciu. Jak ona zaręcza, małżeństwo w dobrach Miączyńskiego zawarte zostało potajemnie, gdyż przeciwni mu byli żyjący wówczas jego rodzice; atoli, jak świadczy akt ślubny, którego kopią urzędową nam pokazywała, dopiero 8. Kwietnia 1780 roku ten związek w obliczu prawa i kościoła zawarty został w Paryżu, w parafii ś. Eustachego. Pani młoda miała wtedy lat 26; świadkami z jej strony byli pan Balincourt prokurator przy parlamencie, i Pan de Longueville zajmujący się interesami króla; ze strony pana młodego, kawaler Kownacki, kapitan polski, i kawaler Devinval. Pani Miączyńska, (której niektórzy nieprawe, ale wysokie pochodzenie naznaczają, dosyć znacznymi dochodami przez opiekuna czy ojca opatrzona, używała ich wraz z mężem, który żadnego już majątku nie mając, starał się usilnie o odzyskanie milionów swoich od rządu francuzkiego. Depomagał mu w tém gorliwie Dumouriez, zawsze pełen dla niego przyjaźni, i wielkie znaczenie wtedy mający; 11. Czerwca, 1783 roku, w podobnych słowach pisał do marszałka Miączyńskiego w tym interesie: „Z wielkiem ukontentowaniem ponowiłem świadectwo przed hrabią de Vergennes, gorliwości, dobrej wiary i męstwa, których WPan dałeś dowody w konfederacyi. Wiem, żeś wielkie straty poniósł, i wielkie ofiary uczynił, i pragnę mocno, ażeby minister otrzymał dla ciebie od króla ich wynagrodzenie i t. d.



Józef Miączyński.

Lecz to wszystko mało pomogło, równie jak i nota, podana przez marszałka Miączyńskiego do Ludwika XVI; rachunki były zawite, dowody zaprzeczane, a co więcej widoki polityczne się zmieniły. Wyznaczył wprawdzie pan de Vergennes tymczasową roczną pensję 6000 franków Miączyńskiemu; ale to dla niego mało było; lubił i umiał żyć, jak to u nas mówią; spodziewał się też zawsze odebrania milionów swoich i zadłużył się nie pomaloma *) tak dalece, że go wierzyciele zamknęli do więzienia la Conciergerie. Uwiadomił o tém natychmiast ministra de Vergennes, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Pani Miączyńska po wielu listach, prośbach do ministrów i do króla, udała się sama do Wersalu, gdzie w ówczas dwór przemieszkował, i otrzymała posłuchanie u P. P. de Vergennes i de Maurepas. Była w ostatnim miesiącu drugiej ciąży, błagała o uwolnienie męża, ojca dzieci swoich. Oba okazali się rozczuleni, obiecali wiele, ale nic nieuczynili; a gdy powtórnie pojechała do Wersalu, źle ją przywitani, tak dalece, że z wielkiego wzruszenia padła zemdlona w sieniach pałacu. Odniesiono ją do powozu, a gdy wróciła do Paryża, z niebezpieczeństwem życia umarłe dziecię powiła. Dowiedziawszy się o tém nieszczęściu Miączyński, umyka z więzienia, chcąc żonę chorą zobaczyć; a we dni kilka, gdy już zdrowszą była, w obawie skutków podobnego postępu, chroni się do Temple, który był w owym czasie miejscem bezpiecznym przeciw napaściom wierzycieli. Ztamąd pisze drugą notę do króla, w której nie szczędzi wyrazów

*) Według niego, długi te 34000 franków nie przechodziły; według innych świadectw, wynosiły przeszło dwakroć sto tysięcy.

śmiałych, wymówek, zwłaszcza dla ministra de Vergennes, a pochwał dla siebie **. W miejsce odpowiedzi dostaje rozkaz opuszczenia Francji na zawsze. Panią Miączyńską zatrzymano w Paryżu w interesie wierzycieli, on zaś pojechał do Belgii. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Róża i pokrzywa.

Przykra dla wszystkich, z wszystkimi zwaśniona,
Dla siebie tylko i czuła i tkliwa;
Tak w pośród licznych krzaków naroszona
Szydziła z róży pokrzywa:

Bawi mię, rzeczce, ta róża tak sławna,
Co niby skromną udaje przed światem;
Znam ja tę skromność oddawna;
Któż się nie pieścił z jej kwiatem?

Mnie taka płochość nigdy się nie zdarzy
Wszystkim wiadomo, jak jestem surowa;
Mojem godłem są te słowa:
Kto się dotknie, ten się sparzy.

I pocóżby się tykał? tak jej rzeczce z boku
Jakiś pasterz w wieczornym dumający mroku;
Można dla róży mnićj na kolce zwać,
I na rany się narażać,
Lecz któżby, mając kwiat tak wdzięczny, tkliwy,
Chciał się parzyć dla pokrzywy?

F. M.

Dytyramb.

(Z Szyllera.)

Nigdy, wierzaj słowa memu,
Nie przychodzą po jednemu
Bogowie z nieba.

Ledwie Bachus ożywić poczyna,
Już za nim idzie miłosna dziewczyna,
Obok nich znajdziesz promiennego Feba.

Wraz się zbliżają
Wszystcy niebianie,
I naplniają
Ziemskie mieszkanie.

Powiedzcie, jakże uraczy
Ziemianin prostaczy,
Chór znamienny!

O nieśmiertelności upraszam was Bogi!
Cóż wam dać może ziemianin ubogi?

Wnieście mnie do was na Olympu szczyty!

Gdzie Jowisz siedzi,
Tam są roskosze;
Nektar się c'zi,
O puhar proszę!

Dalście! do puharu
Włóćcie pocieć nektaru
Aż do wybrzeży;

Rosą niebieska pokrop mu źrenice,
Aby nie patrzył na Stygu ciemnice;
Niech mu się widzi, że do nas należy:

Zródło Jowisza
Szumi, wytryska:
Piers się uciśza,
Oko połyska!

S. B.

*) Zaczny oficer, pułkownik Dembiński, który służył w owym czasie w wojsku francuzkiem pod Miączyńskim, mówił mi o nim, iż to był odważny i zdatny generał, i bardzo lubiony, ile że był wesoly, d weipny, co się zowie bon vivant, i dobrze mówił po francuzku.